ROZDZIAŁ V .

Jesień 1891 roku rozpoczynała okres bardzo radykalnej naszej roboty. W niewielkim gronie zaufanych dojrzał już plan odwetu w Warszawie. Nie zważając na nasze studia politechniczne, postanowiliśmy wyjechać na teren bezpośredniego działania.

Z młodzieży studenckiej byłem najstarszy i studia przerwałem tuż przed egzaminami dyplomowymi; chemiczną pracę dyplomową już nawet ukończyłem.

Braciom Kunickim, Józefowi i Henrykowi, którzy należeli do grona sprzysiężonych, brakowało jeszcze paru lat do skończenia politechniki. Obydwaj posiadali zupełnie odmienne usposobienia. I kiedy Henryk, przy narastaniu grożącego mu niebezpieczeństwa zachowywał się smętnie, to Józef wykazywał dużo humoru.

W mieszkaniu Kunickich zapadła ostateczna decyzja wyjazdu do Warszawy na rozprawę z przedstawicielami naszych wrogów. Józef wyjął wcyzoryk i ze szczególną satysfakcją rozciął nim swój rysunek techniczny, nad którym pracował już od miesiąca,

Znacznie od nas wiekiem starszy, Zieliński, był urzędnikiem kolejowym. Posiadał on wyjątkowo fanatyczne us-

posobienie, zawsze był w dobrym, pogodnym nastroju i każdej chwili gotów życie swoje poświęcić dla sprawy. Socjalistą stał się w późniejszym wieku i to z wielkim trudem; ale skoro raz już go przekonano, przystał do doktryn socjalistycznych z pełną, omal religijną wiarą.

Zieliński i ja rozporządzaliśmy sobą w zupełności. Inaczej jednak było z Kunickimi. Wyjazd ich z Rygi musiał być tak upozorowany, aby nie budził żadnych zastrzeżeń u ich ojca, inżyniera z zawodu, pracującego w Petersburgu.

Surowe przepisy politechniki ryskiej, przewidywały między innymi automatyczne wydalenie ze szkoły w razie silniejszego zakłócenia spokoju w jej murach. Skorzystali z tego Kuniccy i zostali wydaleni.

Ojcu swemu donieśli, o tym nieszczęściu, dopiero z Warszawy i to już po wstąpieniu do gwardyjskiego pułku piechoty, jako jednoroczni Napisali do niego ~~zakomunikowali mu~~, że zostali sprowokowani w murach politechniki, a ponieważ nie zdołali się pohamować i zareagowali czynnie, zostali wydaleni; nie chcąc zaś tracić czasu, zgłosili się do wojska w Warszawie, celem odbycia służby jednorocznej.

Późną jesienią roku 1891, gdy już całe nasze grono czynne było w Warszawie, postanowiłem zastąpić w wojsku młodszego swego brata, który właśnie został powołany do szeregów.

Nie mając matury rządowej, nie posiadał on jednocześnie żadnych praw do ulg wojskowych. Mnie zaś się wydawało, że moja służba wojskowa nic nie przeszkodzi, w naszych zamierzeniach warszawskich.

Pojechałem więc do Zamościa i zgłosiłem się do wojska pod warunkiem, że będę miał prawo odsługiwać je w Warszawie. Po załatwieniu formalności i złożeniu przysięgi dostałem dwutygodniowy urlop, celem wybrania sobie pułku.

Wówczas to, zastanawiałem się nad tym, co mi uczynić wypadnie, jeżeli oficer rosyjski, w wyładowaniu swojej ordynarnej natury, mnie znieważy. Odpowiedź znalazłem bezwłocznie: będzie to nieszczęście, równe wypadkowi śmiertelnemu, kiedy na ulicy gzyms spadnie na głowę przechodnia; za radykalną obronę w takiej okoliczności groziła bowiem śmierć.

Warszawskie władze wojskowe poinformowały mnie ~~jednak~~, że już ~~kilku~~ paru lat, nie przysługuje mieszkańcom Kongresówki prawo odbywania służby wojskowej w ~~Królestwie~~ jej granicach i to nawet tym, którzy mają prawo pierwszej kategorii. Jedynie dla służby ochotniczej nie było żadnych ograniczeń, do niej jednak straciłem prawo, bowiem bez mojej wiedzy i upoważnienia, wójt gminy ciągnął los w moim imieniu. Los ten nie zwalniał mnie z wojska, musiałem zatem służyć na prawach poboru, po zakończeniu swych studiów politechnicznych.

Mając na względzie nasze plany, których terenem wykonawczym była przecież Warszawa, nie mogłem w żaden sposób zgodzić się na wyjazd w głąb Rosji. Byłem więc zmuszony ~~zatym~~, wszystko z powrotem odrabiać, co mi się też w zupełności powiodło. Władze zamojskie, chciały bowiem uniknąć rozgłosu, o wykazanej nieznajomności przepisów.

Brat mój powrócił do wojska, wykorzystawszy tylko możliwość spędzenia Świąt Bożego Narodzenia w domu. Ja zaś zostałem zupełnie zwolniony , wyraziłem bowiem gotowość równoczesnego służenia z bratem. W takim zaś przypadku, na podstawie postanowień przepisów wojskowych, jeden z braci mógł być od służby wojskowej zwolniony.

Gdyśmy w naszych pracach przygotowawczych ~~już bardz zbliżyli się do~~ byli już bliscy celu i gdy uświadomiłem sobie w pełni niepewność mego losu, wyjechałem do Płocka z postanowieniem zerwania z narzeczoną. Chciałem w ten sposób zaizolować ją przed ewentualnymi następstwami wykonywania naszych zamia-

rów. Na miejscu jednak, nie mogłem się zdecydować na ten krok bez podania powodów. Chciałem, aby inicjatywa wyszła od narzeczonej. Nie miałem sumienia porzucić samemu biednej panienki, córki zbankrutowanego ziemianina, który był urzędnikiem w Ziemskim Towarzystwie Kredytowym, z bardzo małym wynagrodzeniem. Nalegałem więc aby zerwała z takim szaleńcem, bo inaczej czeka ją tylko smutny los, w najlepszym razie, mało prawdopodobnym, ucieczka ze mną za granicę. Perswazje nie odniosły skutku. Narzeczona oświadczyła kategorycznie, że chce dzielić mój los, choćby był najgorszy. Postanowiliśmy zatem pobrać się jeszcze przed nadchodzącym wielkim postem.

Dyspensę papieską na zawarcie małżeństwa w tak bliskim kuzynostwie posiadaliśmy już, trzeba było jeszcze tylko w porę zdążyć z zapowiedziami. W tym celu musiałem przywieść z Rygi dowód wygłoszonych tam zapowiedzi.

Ślub odbył się, bardzo skromnie, 22 lutego 1892roku w Płocku. Z mojej strony przyjechała jedynie matka, reszta rodzeństwa ~~bowiem~~ nie była zawiadamiana.

Nazajutrz odwieźliśmy matkę do Klic. Mieszkał tam ~~wówczas~~ mój brat ~~rodzono-~~cioteczny Michał Bojanowski, a ponieważ był jeszcze kawalerem, więc matka moja, prowadziła swemu siostrzeńcowi gospodarstwo domowe.

Po kilku dniach powróciliśmy do Warszawy i wynajęliśmy małe mieszkanko na ul. Widok; zostało ono umeblowane bardzo skromnie.

Wkrótce potem czekała mnie podróż za granicę, gdzie obiecywałem sobie uzyskać potrzebne praktyczne wiadomości, w sprawie materiałów wybuchowych. Do małżonki przyjechała starsza siostra Faustyna, która podczas mojej nieobecności miała jej towarzyszyć.

Podróż zagranicę ułatwił mi tym razem mój kolega Stanisław Żelechowski, którego rodzice posiadali majątek nad samą granicą niemiecką koło Grajewa. 198

Łączyły mnie z nim bliższe stosunki koleżeńskie jeszcze w korporacji, bo mieszkaliśmy nawet przez pewien czas razem w Rydze. Ojciec jego znający dobrze naczelnika komory celnej w Grajewie, nie miał trudności w uzyskaniu pozwolenia na przejazd mój przez granicę, mimo, że nie posiadałem paszportu zagranicznego. Przedstawił mnie, jako swego gościa, ziemianina z lubelskiego, który trochę zaniemógł i pragnąłby udać się do specjalisty w Królewcu.

Graniczna stacja niemiecka znajdowała się blisko Grajewa, tak, że można było udać się do niej piechotą, co też uczyniłem. I kiedy po kupieniu biletu, miałem wejść do wagonu, zostałem niespodzianie zatrzymany przez agenta policyjnego, który poprosił o udanie się z nim do inspektora policji. Po wylegitymowaniu się moim paszportem wewnętrznym i wyjaśnieniu, że przeszedłem przez rosyjską komorę celną za pozwoleniem jej naczelnika, podaniu celu mojej podróży do Królewca, uspokoiłem inspektora, który przeprosiwszy mnie, nie widział dalszych przeszkód w moim wyjeździe. Ponieważ pociąg mój odjechał, a do następnego ~~było~~ pozostawało jeszcze kilka godzin czasu, mogłem ~~więc~~ powrócić jeszcze do państwa Żelechowskich.

Do Królewca naturalnie nie dojechałem. Przesiadłem się przedtym, na jednej ze stacji pośrednich do pociągu berlińskiego, z Berlina zaś dostałem się już bez trudności do Londynu.

Tam skierowałem swe kroki do Stanisława Mendelsona, ówczesnego redaktora i wydawcy pisma socjalistycznego "Przedświt". U niego zastałem ~~towarzyszy~~ Witolda Jodko-Narkiewicza i Aleksandra Dębskiego.

Mendelson, syn bogatego bankiera warszawskiego, emigrował w czasie wczesnej swojej młodości i ukończył studia prawnicze w Paryżu. Bardzo zdolny mówca i pisarz, materialnie niezależny, nawiązał kontakty i zaprzyjaźnił

się z przywódcami socjalistów francuskich i niemieckich, a później i angielskich. Duża przyjaźń łączyła go z Millerandem, późniejszym prezydentem republiki francuskiej.

Mendelson ożeniony był z hrabianką Zaleską z Podola, również dość zamożną. Dom ich prowadzony był na wysokiej stopie życiowej. Oprócz tego ponosili oni duże koszty, związane z prowadzeniem socjalistycznych wydawnistw polskich. Mendelson, z nieodłącznym monoklem w oku, królował swoim błyskotliwym dowcipem w towarzystwie. Ulubionym tematem jego żartów było naśladowanie gestem i mową różnych cech żydowskich. Słuchając go można było sądzić, że jest zdeklarowanym antysemitą, chociaż pochodzenie jego nie było tajemnicą. Mendelson robił na mnie wrażenie człowieka niezwykle ambitnego.

Witold Jodko-Narkiewicz, również materialnie niezależny, także zdolny, nie miał jednak wygórowanych ambicji osobistych. Ani w słowie ani w piśmie nie przejawiał śladu błyskotliwości. Do każdej pracy zabierał się z wielką energią i sprawnością.

Jak się później okazało, miał Jodko-Narkiewicz bardzo niemiłą i szkodliwą cechę, która nie występowywała jednak nigdy w czasie gdy pracował społecznie. ~~xxxxxxxxxxxxxxxx~~ Natomiast miewał okresy w swojej bezczynności politycznej kiedy występowała u niego namiętność do picia. Ponieważ matka jego była rosjanką, mówiono, że wadliwą swoją skłonność odziedziczył.

Aleksander Dębski należał jeszcze do pierwszego Proletariatu, rozgromionego w roku 1886. Pochodził z rodziny ziemiańskicj, później zupełnie zubożałej. Odznaczał się bardzo wartościowym charakterem i posiadał szczere, ideowe uczucia. Jeszcze w Zurychu, miał bardzo przykry i groźny dla siebie wypadek; został bowiem poważnie poszarpany.

~~pany~~ przez próbne, małe bomby, napełnione materiałem wybuchowym. Był ~~on~~ wtedy tylko widzem przy próbach, wykonywanych przez rewolucjonistów rosyjskich. Dębski, podczas całego swojego pobytu w Londynie, stał na czele drukarni i sam dużo pracował jako zecer.

Poinformowałem towarzyszy o celu swej podróży.

Mendelson odradzał mi użycia bomb do zamachów. Mówił, że jest to broń anarchistów, stosowana często na zachodzie Europy i z tej racji zdyskredytowana. Radził mi więc, zorganizować raczej konny oddział bojowy i zrobić napad, na jadącego satrapę rosyjskiego z bronią palną w ręku. Uważał, że zamach, w tej formie i dobrze wykonany, miał by wielką popularność na Zachodzie.

Nie odróżniał tego, że przecież nie jest rzeczą obojętną do jakich celów się bomb używa; inaczej bowiem trzeba walczyć z okrutnymi metodami stosowanymi przez zaborcę, a inaczej protestować przeciw własnemu ustrojowi socjalnemu. W pierwszym przypadku należało doprowadzić do silnego wstrząsu, któryby przerwał dalszy rozwój istniejących stosunków, prowadzący do coraz to większego ucisku Polaków; mógłby tu mieć zatem znaczenie jedynie radykalny protest, którego siła i ostrość dostosowane byłyby do brutalnych metod, stosowanych przez zaborcę. W drugim przypadku natomiast, ewelucyjny sposób działania był właśnie najodpowiedniejszym.

Fakt, że wrażliwsze jednostki dochodzą już do stanu psychicznego, który je ~~zmusza do akcji~~ doprowadza do stosowania ~~w~~ najostrzejszej ~~formie~~ odwetowych, z poświęceniem własnego życia, był najlepszym dowodem, że teror ~~zaborcy~~ rosyjski~~ego~~ przeszedł już granice wszelkiej wytrzymałości. ~~Zaś~~ Wywołanie jedynie efektu popularności na Zachodzie, nie stało w żadnym stosunku do nastrojów związanych z gotowością poniesienia najdalej po-

suniętej ofiarności.

Z Londynu udałem się do Paryża i Szwajcarii, zdobyłem bowiem w Londynie kilka adresów, które mi miały zapewnić dostęp do poszukiwanej literatury.

Po powrocie do Warszawy, udałem się pieszo z dworca kolejowego na ul. Widok, a z umówionego uprzednio sygnału, jaki zauważyłem w oknie naszego mieszkania, stwierdziłem, że w czasie mojej zagranicznej podróży nic podejrzanego nie zaszło.

Dla łatwiejszego dostępu do chemikalii, potrzebnych do wyrobu materiałów wybuchowych, wyjechałem z małżonką do Rygi. Trzeba było wynająć tam mieszkanko, dostosowane do zamierzonych przezemnie prac.

Z materiałami chemicznymi, nie miałem żadnych trudności; mogłem więc szybko przystąpić do wyrobu nitrogliceryny, w czem pomagała mi małżonka.

Po wytworzeniu dostatecznej ilości i zabezpieczeniu od możliwości ~~nie zamierzonego~~ przypadkowego wybuchu, złożyłem cały fabrykat do ręcznego koszyka małżonki, w którym miała go przenieść do mieszkania mojego kolegi. Zaraz jednak po wyjściu z domu, zauważyła, że jest śledzona przez jakiegoś osobnika. Wstąpiła do sklepu i wyszła dopiero po dłuższym czasie, mając możność już bez przeszkody zanieść cenną zawartość koszyka do miejsca przeznaczenia.

Kolega mój, który jechał do Warszawy, miał przy tej sposobności zabrać z sobą i nasz produkt. Mógł zrobić to z całym spokojem, albowiem nie był dotychczas obciążony żadną nielegalną działalnością. Naturalnie, że poinformowałem go o zawartości przesyłki.

Ja zaś z żoną, chcąc zachować najdalej idącą ostrożność, wyjechaliśmy do Warszawy okrężną drogą. Przybyw-

szy na miejsce, przekonałem się wkrótce, że jestem śledzony, jakkolwiek początkowo bardzo dyskretnie. Ta dyskrecja dawała nam nadzieję, że nasi niepożądani opiekunowie poczekają jeszcze jakiś czas, by móc złowić jednocześnie większą ilość ryb w zastawione sieci. Postanowiliśmy zatem, w dalszych naszych pracach przygotowawczych, zachowywać jeszcze większą ostrożność. ~~w utrzymywaniu z sobą łączności~~.

Wobec ~~wskazanego~~ pożądanego pośpiechu zmuszeni byliśmy również zmienić plan działania. O ile przy wykonaniu pierwotnego naszego planu istniały pewne choćby nawet bardzo minimalne szanse ujścia z życiem, to druga koncepcja nie dawała żadnej w tym względzie nadziei. Postanowiliśmy wtargnąć w mundurach oficerskich w dniu galowym do wnętrza soboru, gdzie gromadziły się najwyższe sfery naszych siepaczy i salwą bomb ich powitać, ginąc razem z nimi. I ciekawe jest, że ta nieznaczna zmiana, w pierwszym wypadku bowiem istniało przecież małe prawdopodobieństwo ujścia cało, wywołała ogromną zmianę naszych nastrojów.

Po wydaniu w ten sposób na samych siebie wyroku, nie interesowaliśmy się już niczym innym poza pracą przygotowawczą do zamachu, a wszelkie rozmowy koncentrowały się na tym przedmiocie. Przedstawialiśmy sobie obrazowo i nie bez humoru, epizody w krytycznym momencie. Ktoś z zewnątrz mógłby sądzić, że jesteśmy sadystami. Stan nasz psychiczny nie można już było uważać za normalny. Cały ten niesamowity nastrój, był widocznie wywołany chęcią zagłuszenia działania instynktu samozachowawczego.

Żona moja opowiadała mi później zagranicą, a znała tylko fragmenty naszych rozmów, że obniżały one w jej oczach ocenę naszych postaci. I nic w tym dziwnego, bo także i ja, kiedy doszedłem już do zupełnej równowagi i poczułem się znowu normalnym człowiekiem, nie uważałem ostatnich czasów mego pobytu

w Warszawie za normalne, a wywołane jedynie przymusem, który się w nas zrodził pod wpływem ciężkiego losu naszego narodu.

Gdy już praca moja była odpowiednio zaawansowana, wyjeżdżałem kilka razy z Zielińskim łodzią na Bielany, dla dokonywania w tamtejszym lasku prób, z przygotowanymi bombami próbnymi. Każdorazowo, po zasypaniu pośpiesznie leja utworzonego przez wybuch, wskakiwaliśmy szybko do łodzi i odbijali na środek Wisły. Jeden z próbnych wybuchów nastąpił raz w chwili, gdy w pobliskim obozie letnim orkiestra wojskowa grała państwowy hymn rosyjski. Silna detonacja wywołała napewno mocny dysonans w pieśni carosławia.

Tymczasem agenci coraz skrupulatniej, a nawet już jawnie pilnowali mojego mieszkania. Trzeba było więc przyspieszyć zamach. Wówczas jednak zupełnie nieoczekiwanie, nastąpił fakt, który pokrzyżował nasze plany. Oto ojciec Kunickich, wiedziony widocznie przeczuciem, spowodował rozkaz wojskowy przeniesienia jego synów do Petersburga.

Wkrótce potem, a było to 30 czerwca 1892 roku, wpadł do nas wieczorem Zieliński, nagląc do bezwłocznej ucieczki zagranicę, tejże bowiem nocy jeszcze, mogła nastąpić rewizja w naszym mieszkaniu. Zdecydowałem ~~jednak~~ ostatnią tę noc jeszcze zaryzykować, inaczej bowiem nie miałbym możności wyniesienia z domu całego materiału technicznego, przygotowanego do zamachu.

Na podstawie częstych obserwacji ruchu ulicznego z poza firanek okiennych, mogłem stwierdzić, że wczesnym rankiem między godz.3 i 4 znikali agenci ze swoich stanowisk. Wykorzystywali oni widocznie ten krótki czas dla odpoczynku, nie przypuszczając zapewne, aby ofiary ich mogły im wtedy spłatać jakiego figla. Z tej sposobności postanowiłem więc skorzystać i opuścić raniutko mieszkanie.

Przedewszystkim udałem się do matki, aby się z nią pożegnać; mieszkała u starszej siostry mojej, Aleksandry. Gdy się zwierzyłem matce o zamiarze moim wyjechania z małką za granicę, rzuciła mi się na szyję z wielką radością mówiąc, że cieszy się z tego niezwykle, bardzo się bowiem niepokoiła o nasz los, a nie śmiała mówić mi o tym. Przy sposobności pożegnania, dała mi dość pokaźną sumkę, co znacznie polepszyło naszą sytuację finansową. Powiedziała mi, że właśnie, wiedziona przeczuciem, odkładała dla nas te pieniądze. A były one bardzo pożądane, wydawałem bowiem już ostatnią należną mi ratę, pobraną naprzód od mojego szwagra. A musiałem Zielińskiemu także pozostawić pewną ilość pieniędzy, bo od czasu porzucenia swego stanowiska urzędniczgo w Rydze, nie miał już ~~żadnych~~ innych środków do życia.

Po powrocie od matki, zabraliśmy się do pakowania rzeczy. Postanowiliśmy zabrać z sobą tylko bieliznę. Druga waliza, była wypełniona przygotowanym przezemnie materiałem ~~technicznym~~ wybuchowym.

O godzinie 10 wieczorem małżonka udała się na spoczynek.

W związku ze spodziewaną rewizją żandarmerii, porobiłem przygotowania, abyśmy nie dostali się żywi w ręce siepaczy rosyjskich. Przy łóżku żony postawiłem słoik z cjankiem potasu, sam zaś przygotowałem odpowiednie narzędzia dla obrony którą pragnąłem zaalarmować Warszawę i dać w ten sposób możność ukrycia się w porę tym, którzy mogli być również zagrożeni. W chwili powstania zgiełku walki u wejścia do mieszkania, miała żona sięgnąć po słoik z trucizną. Tuż przed spoczynkiem zaswędziało ją lewe oko, a że

uważała to za znak pomyślny, zasnęła spokojnie. Ja musiałem czuwać, nietylko z racji spodziewanej wizyty żandarmów, lecz również aby nie zaspać.

Noc minęła szczęśliwie. Bardzo wczesnym rankiem obudziłem dozorcę domu, polecając sprowadzić dorożkę. Powiedziałem mu, że jedziemy na tydzień na wieś do Skierbieszowa, a, dając rubla, powierzyłem opiekę nad mieszkaniem, obiecując dać więcej po powrocie.

Wybrałem dobrą porę, gdyż, niespostrzeżeni przez naszych opiekunów, opuściliśmy mieszkanie. Dorożkarzowi kazałem jechać na dworzec Nadwiślański. Przybywszy tam, weszliśmy z rzeczami do poczekalni i dopiero po nadejściu pociągu opuściliśmy wraz z przyjezdnymi dworzec, aby inną dorożką udać się do mieszkania Zielińskiego; u niego pozostawiłem walizkę z materiałami wybuchowymi.

Zieliński miał bezwłocznie wyjechać do swoich znajomych na kresach wschodnich i dopiero po pewnym czasie powrócić do Warszawy, aby chociaż w mniejszej skali wykonać nasze zamierzenia. Miał przy tym łatwość zmiany swego wyglą- przez ogolenie dużej brody.

Trzecią z rzędu dorożką udaliśmy się od niego na dworzec Petersburski i w ten sposób zatarliśmy za sobą ~~nami~~ wszelkie ślady.

Jak nas później informowano, władze po stwierdzeniu że przyjazd nasz do Skierbieszowa nie nastąpił, zapytywały krewnych o nasz adres, a z mieszkania siostry zabrały moją fotografię.

Pierwszym etapem naszej dalszej podróży był dom rodziców mojego kolegi Zelechowskiego, których majątek, jak już wspomniałem ~~pisałem~~, dochodził do samej granicy niemieckiej pod Grajewem. Przybywszy tam, poczuliśmy się znowu wolni i na razie bezpieczni.

Po kilku dniach pobytu w tym ~~bardzo~~ gościnnym domu, udaliśmy się wraz z gospodarzami na przechadzkę do lasu i tam przeszliśmy granicę. Poza laskiem, po stronie niemickiej, czekał już na nas mój kolega z powozem, którym mieliśmy pojechać do miasteczka Ełku, aby tam dopiero siąść do pociągu.

Szczęśliwym trafem dawniejsza moja przygoda na stacji przy samej granicy, w małej wioszczynie w Prostkach, dała mi wskazania, bez których cały nasz misterny plan wydostania się z pod łap rosyjskich, nie byłby się udał. Bylibyśmy napewno zatrzymani na pierwszej stacji niemieckiej i wydani władzom rosyjskim, władze niemickie bowiem w tym czasie wydawały przestępców politycznych Rosji. Wyjazd zaś z miasta Ełku, razem z innymi podróżnymi, dawał bardzo małe prawdopodobieństwo komplikacji.

Podróż koleją minęła szczęśliwie. W Berlinie skorzystaliśmy z gościny Stefanów Tielów, bardzo inteligentnej rodziny robotniczej, znanej mi z poprzedniej podróży; pochodzili z Gniezna w Wielkopolsce. Użycie hotelu było dla mnie niemożliwe ze względów konspiracyjnych.

Pobyt nasz w stolicy państwa niemieckiego projektowany był na kilka dni, musieliśmy bowiem oczekiwać na walizę z bielizną, którą miał mi wysłać mój kolega Zelechowski ze stacji niemieckiej frachtem pośpiesznym. Zaszła widocznie przeszkoda, bo walizę otrzymałem dopiero po trzech tygodniach.

Dłuższy pobyt u naszych ~~bardzo gościnnych~~ miłych gospodarzy nie był dla nas uciążliwy. Łączył mnie przecież z nimi nietylko stosunek towarzyski, ale i ideowy. ~~Ten~~ Dłuższy pobyt, dał mi także sposobność poznania życia i organizacji Polonii robotniczej w Berlinie. Stykałem się tu również z przedstawicielami robotniczej organizacji z Górnego Slązka, którzy przyjeżdżali od czasu do czasu do stolicy Niemiec.

Pewnego dnia udaliśmy się w towarzystwie młodszego brata naszego gospodarza na przechadzkę do Tiergartenu. Już mieliśmy wracać do domu, kiedy zauważyłem, że dwóch osobników zdecydowanie podąża za nami. Nie miałem żadnych wątpliwości, że są to szpicle policyjne. Trzeba było koniecznie od nich się oderwać, a nie była to rzecz prosta.

Przedewszystkim ostrzegłem dyskretnie towarzyszy przechadzki aby się przypadkiem nie oglądali i zachowali dalej spokój, poczem dopiero poinformowałem ich o swojej obserwacji; przygotowałem ich na to, że w chwili kiedy będzie nas wyprzedzał tramwaj, wrzucę pośpiesznie na platformę małżonkę, poczem sam za nią wskoczę. Ryzykowny ten plan udał się znakomicie, pomimo wielkiej szybkości, jaką w tym miejscu tramwaj rozwijał Pomocną była mi w tym nietylko wielka moja siła ale i właściwa mi szybkość ~~moich~~ ruchów.

Konduktor niemiecki, nie przyzwyczajony do tego rodzaju ekstrawagancji i to jeszcze przy pełnej szybkości wozu, dał mocny wyraz swemu oburzeniu; wciśnięta w dłoń marka, załagodziła momentalnie nasz wzajemny stosunek.

Ucieczkę ułatwiła jeszcze i ta okoliczność, że nie było w pobliżu żadnej dorożki.

Dojechawszy do pierwszego placyku, na którym krzyżowało się kilka linii tramwajowych, wskoczyliśmy zaraz do wozu, który właśnie ruszał. Byliśmy uratowani. Dopiero po przejechaniu większej przestrzeni, skierowaliśmy się ku domowi.

Gdy brat gospodarza powrócił, opowiedział nam co zaszło po naszej ucieczce. Agenci, pośpiesznie podążyli do stacji tramwajowej i ruszyli najbliższym wozem za nami. To samo zrobił młody Tiel. Na placyku wysiedli oni szybko i przebiegli wszystkie stojące tam wozy tramwajowe.

Niestety spóźnili się. Liczyli zapewne na to, że zastaną nas oczekujących na odpowiedni dla nas wóz.

Przygoda w Tiergartenie, upewniła mnie, że pogoń została zarządzona i że dotarła już do Berlina. Dalsze pozostawanie na miejscu nie było bezpieczne. Na szczęście walizka z bielizną nadeszła już nazajutrz; nie zwlekaliśmy też dłużej z wyjazdem.

Dalsza nasza droga prowadziła przez Rotterdam, Hook of Holand i Harwich do Londynu. Do granicy holenderskiej jechaliśmy czwartą klasą, trzeba się bowiem było ograniczać w wydatkach.

W Anglii poczuliśmy wreszcie, że nam już nic nie grozi. I dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, jak niezwykle sprzyjało nam szczęście, w uniknięciu czyhających niebezpieczeństw.

Skazuję się sam na śmierć i, mimo mej woli, żyję, z rewizją w domu żandarmi się spóźniają, z Warszawy wydostajemy się z pod łap rosyjskich oprawców, omijamy szczęśliwie stację graniczną niemiecką, w końcu wymykamy się szpiegom w Berlinie. Gdyby choć w jednym przypadku szczęście nie dopisało, nie byłoby już dla nas ratunku w zachowaniu życia.